



Kryminał z myszką

83

Trzy ciosy sztyletem

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

TRZY CIOSY SZTYLETEM

Kryminał z myszką – Tom 83

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-49-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1986, seria „Labirynt”

PROLOG

– Podoba się panu?

Mężczyzna jeszcze przez chwilę wpatrywał się w to, co leżało na ladzie – zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko w bezpiecznej odległości od jego ręki – a potem z wolna uniósł głowę i spojrzął na mówiącego. Oczy miał nieokreślonego koloru, ni to piwne, ni zielonkawe.

– Tak – odparł grzecznie. – Bardzo piękny.

– Oczywiście, nie mam tych najcenniejszych – ciągnął dalej jubiler, z upodobaniem patrząc na klejnot. – Tych absolutnie przezroczystych albo z delikatnym niebieskawym odcieniem. Ceny takich brylantów sięgają zawrotnych sum. Najwspanialsze okazy znajdują się w muzeach świata. W Tower, w Luwrze, w Diamentowym Skarbcu Związku Radzieckiego.

– Ma pan na myśli Koh-i-Noor?

Jubiler roześmiał się. To już była reguła: jeżeli klient chciał się pochwalić znajomością klejnotów, wymieniał właśnie ten. No, może jeszcze Orłów i Wielki Mogoł. A przecież jest ich kilkadziesiąt, cudów natury i ludzkich umiejętności.

– Cullinan, Gwiazda Sierra Leone, Gwiazda Południa, Regent – wyliczał. Machnął ręką, co tam przebiegać pamięcią po muzeach. – Ten, na który pan patrzy, to zaledwie brylancik. Pamiątka rodzinna. Ktoś mi zostawił do sprzedaży. Przycisnęło go.

Przyjrzał się człowiekowi, który stał po drugiej stronie lady. Nie robił wrażenia klienta-amatora drogich kamieni, chociaż pozory czasem mylą.

– Sześćset siedemdziesiąt tysięcy – powiedział, ot, tylko z zawodowej uprzejmości, był kupcem starej daty. – Niedrogo, jak na ładny kamień dobrego szlif. Dzisiaj robi się to maszynowo, poleruje na tarczach z pyłem diamentowym. – Wzruszył ramionami. – Technika zastąpiła człowieczy artyzm. Tak. Wolno spytać, w jakim celu wstąpił pan do mego sklepu?

Mężczyzna o piwnozielonych oczach zmieszał się lekko, potarł twarz nerwowym ruchem.

– Właśnie... ten napis na wystawie – wskazał ręką. – O brylancie, że na sprzedaż. Chciałem zobaczyć, bo... Tak się złożyło, że jeszcze nigdy, rozumie pan. – Umilkł, zawstydzony.

Jubiler pokiwał głową. Owszem, rozumiał, że można, mając na oko dobrze po czterdzieście, nie widywać dzisiaj brylantów. Prawdziwych, rzecz jasna. W modzie są sztuczne, na wystawach pełno efektownych szkiełek we wszystkich kolorach. Tanio. Nigdy nie zastąpią... ale to już mniejsza.

– A czy wie pan – podjął znowu rozmowę – skąd pochodzi nazwa diament?

– Nie.

– Od greckiego adámas, co znaczy: niepokonany.

Chciał mówić dalej, ale zdziwiła go nagła zmiana w twarzy klienta. Mężczyzna wyraźnie ożywił się, oczy mu rozbłysły. Spojrzął na klejnot, potem na jubilera i znów na klejnot.

– Jak pan powiedział? – zapytał, aby się upewnić. – Niepokonany?

– Ładnie, prawda? Grecy nazwali tak diamenty pewnie ze względu na ich niezwykłą twardość, odporność, a może i dlatego, że po oszlifowaniu są tak piękne, iż wytrzymują konkurencję wszystkich innych kamieni. Co prawda nie wytrzymują próby ognia.

– Co to znaczy?

– Po prostu spalają się! Przecież to węgiel.

– Adámas – powtórzył obcy człowiek. W jego głosie było zadowolenie, nawet radość, – Adámas! – Patrzył jeszcze przez chwilę na klejnot, potem raptownie uchylił kapelusza, mruknął: – Do widzenia, dziękuję panu bardzo! – I wyszedł ze sklepu.

– Do widzenia – odparł jubiler. Wzruszył ramionami. Dziwny jakiś – myślał, spoglądając na zaśnieżoną ulicą. – Za co on mi właściwie dziękował? I czym się tak niespodziewanie ucieszył?

Ale na drugi dzień stary jubiler nie pamiętał już o tym zdarzeniu.

Rozdział 1

Profesor Zawilski zsunął okulary na koniec nosa i popatrzył na zebranych. W zasadzie było mu obojętne, czy mówi do dwudziestu, dwustu czy nawet dwóch tysięcy osób, mimo to widok pełnej dziś sali, wpatrzone w niego oczy i – tak, o tym nie wątpił – skupione twarze, sprawił mu zadowolenie. Przywrócił okularom właściwą pozycję i kończył wykład:

– Dodam jeszcze, że rybitwa zwana zwyczajną w okresie godów wiosennych przywdziewa piękny czarny kask. Zaloty miłosne odbywają się w powietrzu, przy akompaniamencie głośnych okrzyków, czego bym nie radził próbować żadnemu Homo sapiens – uśmiechnął się do sali, która odpowiedziała przelotnym szmerem i śmiechem, gdyż nie wszyscy zrozumieli łacinę. Odnotował więc w pamięci, iż nie należy popisywać się obcymi zwrotami w trakcie popularnych wykładów.

Szedł potem ulicą, otulony w swoje kilkunastoletnie, ale wciąż jeszcze ciepłe i dobrze wyglądające futro, spoglądał to na wystawy sklepowe, to na ludzi, którzy mijali go śpiesznie, potracali, tłoczyli się na wąskich chodnikach Nowego Świata. Czuł się ciągle młodo mimo przekroczonej siedemdziesiątki, był zdrow, umysł pracował pełną parą, ubywało tylko z każdym miesiącem siwych włosów, robiąc miejsce różowej łysinie.

Skręcił w Aleje, w barze przy Marszałkowskiej wypił kawę (jedna mała dziennie) i wszedł w Hożę. W starym, wygodnym domu mieszkali z Elżbietą od trzydziestu lat z okładem. Tu spędziło dzieciństwo dwóch ich synów – dzisiaj żonatych, po studiach, każdy w swoim domu, w nowych, odległych od centrum osiedlach. Tu Zawilski, kiedy jeszcze był adiunktem, pisał pracę doktorską. Potem otrzymał tytuł profesora, dwa krzyże zasługi, a w zeszłym roku „Komandorię”. Tutaj Elżbieta malowała realistyczne obrazy, stąd wyjeżdżali dla uzupełnienia wiedzy za granicę. Z tego domu Antoniego zabrało pogotowie, kiedy złapał zapalenie płuc, a Elżbietę dwa razy na oddział położniczy.

Takich rodzin jak Zawilscy było w kamienicy kilka: solidnych, pracowitych, wykształconych i życzliwych światu. Znali się, wymieniali poglądy na różne sprawy, czasem odwiedzali. Kiedy synowie opuścili mieszkanie przy Hożej, rodzicom pozostały trzy spore, wysokie i ładnie umeblowane pokoje, słacone spółdzielni. Z początku nie mogli się przyzwyczaić, że są teraz tylko we dwoje, chociaż dzieci (żonate, wężate) odwiedzały ich każdej niedzieli i w święta. Potem ułożyli sobie życie, wypełnione pracą, spacerami, czytaniem i nie kończącymi się nigdy dyskusjami o wszystkim, co ich interesowało. Chyba jestem szczęśliwy – pomyślał kiedyś profesor, stwierdzając to z pewnym zdumieniem. Owszem, nie ominęły ich kłopoty, smutki, nawet małe dramaty rodzinne. Ale to jedynie umocniło więź, łączącą od blisko czterdziestu lat Elżbietę z Antonim.

Wszedł na drugie piętro. Wycierając buty po raz któryś przypomniał sobie, że miał kupić nową słomiankę. Otworzył drzwi.

– Wiesz – powiedział, kiedy Elżbieta wyjrzała z kuchni – Witold opowiedział mi zabawną historię o swoim szefie. Wyobraź sobie, że... zaraz włożę pantofle, nie przerywaj mi. Więc jakiś ważny artykuł w drukarni złożyli garmondem, zamiast, jak było umówione, kursywą. Witek poszedł do naczelnego, bo na inny skład potrzebny był jego podpis. A ten bałwan mówi tak: „Po co składać na nowo taki duży artykuł? Przecież można pochylić czcionki!”

Elżbieta wybuchnęła śmiechem.

– I co na to Witold?

– A cóż mógł powiedzieć? To jego szef. Pamiętasz, jak pani Biernacka spytała mnie kiedyś zupełnie serio, czy Karol Maria Weber to małżeństwo?

– Pamiętam, że tyś wtedy z całą powagą odpowiedział: nie, to dziadek z wnuczką. A ona w dalszym ciągu nic nie rozumiała. Myj ręce, zaraz podaję obiad.

– Co dziś mamy?

– Pomidorową zupę z ryżem i gulasz. Dlaczego palisz przed jedzeniem? W ogóle za dużo palisz. Nie chcę cię straszyć, ale podobno co piąty Polak umiera na raka.

– Ja jestem w pierwszej czwórce – odparł stanowczo. Nastawił radio, posłuchał komunikatów. – Wiosną pojedziemy do Jugosławii. Wczesną wiosną, kiedy tam jeszcze nie ma tłumu wycieczkowiczów. Będę miał zaproszenie dla nas dwojga.

– Od kogo?

– Od profesora Milanicia z Belgradu. Też ornitolog, poznałem go w ubiegłym roku na zjeździe w Budapeszcie. Teraz napisał, że zaprasza.

Elżbieta naląła zupę, zamyśliła się.

– Nie byłam jeszcze w Jugosławii – powiedziała. – A bardzo bym chciała tam pojechać.

– Wiem przecież, że nie byłaś, bo i ja nie byłem.

Popatrzyli na siebie, Antoni uśmiechnął się. Wszędzie jeździli razem, nie przyjąłby zaproszenia wyłącznie dla „pana profesora”.

Zjedli obiad, Elżbieta krzątała się w kuchni, a profesor stanął przed sztalugą z nie dokończonym obrazem i wpatrywał się w niego, zadumany. Na płótnie dziecko kilkuletnie bawiło się z psem, płowym wilczurem. Twarz miało jednak zwróconą nie do psa, lecz wprost – do każdego, kto oglądał obraz. I właśnie oczy dziecka pochłonęły uwagę Antoniego. Zmarszczył brwi, próbował przez dzieło lepiej odczytać jego twórcę. Wtedy zrozumiał.

– Przecież to jest Michał! – powiedział, kiedy weszła do pokoju. – Jego oczy, jego spojrzenie.

Objął żonę, stali tak razem i patrzyli.

– Michał – potwierdziła. – Jak miał pięć, może sześć lat. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że to jesteś również ty?

– Jak to: ja? Jeżeli mnie pamięć nie myli, poznaliśmy się w okresie mojej męskiej dojrzałości – zażartował. – Nie w dzieciństwie.

– Mam w albumie kilka twoich zdjęć, od niemowlaka do dziesięcioletniego skrzata. Michał ma twoje oczy. I patrzy tak jak ty. Trochę z ukosa, z przymrużonymi powiekami. Jacek już jest zupełnie inny.

– Jacek jest podobny do ciebie, nie mogłabyś się jego wyprzeć! Nie wiesz, czy przyjadą w niedzielę?

– Jackowie tak, a Michał chyba zostanie z Jadzią, bo ona trochę źle się czuje. Tylko proszę cię, nie dyskutuj znowu z Jackiem o polityce. Zapalasz się, drażni cię jego brak tolerancji, a potem są tabletki w robocie.

Usiadł w fotelu, skrył uśmiech. Tak naprawdę, to uwielbiał te słowne potyczki z młodszym synem, choć za nic nie przyznałby się do tego.

– Wiesz – sięgnął po papierosa. – Przeczytałem kiedyś u Pruszyńskiego, bodaj to było w jego książce „Droga wiodła przez Narwik”, zdanie, które często mi się przypomina, kiedy użeram się z własnym potomkiem. Pruszyński zastanawia się w jakimś momencie: „Czy mamy rację my, którzy chcemy zmieniać, czy oni, którzy chcą zachować?” Myślę sobie wtedy, że ja należę do tych ostatnich, a Jacek do pierwszych. Dobrze to czy źle? Nie wiem.

Nie odpowiedziała. Wzięła do ręki pędzel, umaczała w farbie, poprawiała coś na płótnie. A kiedy zagłębił się w tygodnikach i zapomniał już, o czym mówili, rzuciła jakby od niechcenia:

– Nie ty należysz do tych, co chcą zachować, ale my. My oboje.

Drgnął, odłożył gazety. Czy mu się zdawało, że w jej głosie był smutek?
– Martwisz się tym? – spytał zdziwiony. – Jeżeli chcemy zachować wspólną przeszłość, taką jaką była, to jest to przecież nasze prawo i nasz ogromny dorobek, nie myślę tu o sprawach materialnych. Nikt go nam nie odbierze. I – dodał ciszej, jakby z lękiem – mam nadzieję, że zakończymy wszystko razem.

*

Listopadowy wieczór z nagłą sypnął śniegiem, wiatr rozdmuchiwał go po jezdni i chodnikach, zrobiła się zima. Zawilski głębiej wcisnął czapkę, podniósł kołnierz futra. Właściwie powinien był wsiąść do autobusu, bo w domu czekali goście, ale po paru godzinach wykładów w klubie prasy i w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej czuł potrzebę ruchu na powietrzu, bodaj rozprostowania, nóg i znużonych mięśni.

Szedł przez Ogród Saski, stawiając ostrożne kroki, bo ścieżki były śliskie, nieprzetarte. Przy takiej pogodzie o szóstej wieczorem ludzie nie spacerowali w parkach.

Czapka zasłaniała mu uszy, nie usłyszał więc kroków za sobą. Dopiero czyjś głos spowodował, że przystanął, aby zorientować się, kto i czego od niego chce.

– Śpieszy się pan, profesorze?

Chyba nie znał tego głosu. Lecz tamten wiedział widocznie, kogo zatrzymuje. Zawilski usiłował w śnieżnej zadymce przyjrzeć się twarzy stojącego przed nim osobnika, ale mokre białe płatki przylepiały mu się do okularów i przesłaniały widok.

– O co chodzi? – spytał z niezadowoleniem. – Rzeczywiście, śpieszę się. Kim pan jest?

– Szczęśliwy człowiek! – mówił nieznajomy, zagradzając drogę. – Nie myślę się, prawda? Jest pan zadowolony z życia. Nawet bardzo.

Wariat – pomyślał Zawilski. – Albo pijak, chociaż nie czuję alkoholu w jego oddechu. Skąd on mnie zna?

– Pytałem, kim pan jest – powtórzył niecierpliwie. – Sądzę, że nie pora ani miejsce na takie rozmowy.

Chciał go wyminąć, ale nie udało się. Obcy zatrzymał Antoniego wyciągniętą ręką i mówił dalej:

– Czy nie pomyślał pan, profesorze, że nikomu nie wolno być naprawdę szczęśliwym?

– Kto panu powiedział, że ja nim jestem? – zachnął się mimo woli.

– Nikt. Ja wiem. Obserwuję pana, całą pańską rodzinę, od dawna. Widujemy się czasami. Nawet kłaniamy.

– Panie, ja naprawdę nie mam czasu ani ochoty na rozmowę! Ja się śpieszę do domu, nic mnie nie obchodzą pańskie dywagacje o szczęściu. Też pan sobie wybrał czas i pogodę... No? Odsuńże się, człowieku, bo mam już tego dosyć!

– Ja również – odparł nieznajomy.

*

Goście byli wyrozumiali. Wytłumaczyli pani domu, że widocznie profesora zatrzymały jakieś bardzo ważne sprawy, nie miał pod ręką telefonu, takie sytuacje się zdarzają. Znany jest przecież jako człowiek niezwykle punktualny i gościnny. Trudno, przyjdą innym razem. Zjedli przygotowane kanapki, wypili kawę, koniak, popatrzyli na zegarki i wstali. W przedpokoju jeszcze raz zapewnili Elżbietę, że nie mają żalu ani pretensji. No, a gdyby coś... W każdym razie, proszą jeszcze dzisiaj o wiadomość, kiedy Antoni nadejdzie. Mógł w tej zawiei przewrócić się, skrócić nogę, może trzeba podwieźć samochodem do pogotowia, służą wszelką pomocą.

Zrobiwszy, co do bliskich znajomych należało, wyszli i Elżbieta została sama. Dochodziła godzina dwudziesta. Sprzątnęła ze stołu, wyniosła naczynia do kuchni, zaczęła zmywać, ale przerwała i wyszła do przedpokoju, bo zdawało jej się, że ktoś zatrzymał się przed drzwiami. Kroki minęły jednak ich mieszkanie. Usiadła na kuchennym taborecie ze ścierką na kolanach, czując, jak serce bije nierówno, za szybko, potyka się niczym człowiek na wyboistej drodze.

Pomyślała, że trzeba wziąć tabletkę propranololu, ale nie miała siły wstać. Dźwignęła się dopiero po kwadransie; bała się spojrzeć na zegar w dużym pokoju. Po schodach znowu szli ludzie, śmiali się i rozmawiali z ożywieniem. Skrobiąc pazurkami po śliskich stopniach zbiegł z trzeciego piętra pies sąsiadów, zaszczekał koło drzwi, przynaglając swego pana. Potem już było cicho.

– Przecież nie mogę tak czekać! – powiedziała na głos. Odłożyła ścierkę, podeszła do telefonu, nakręciła numer starszego syna. Kiedy odezwał się, poczuła jakby uspokojenie: Michał poradzi, na pewno będzie wiedział, co trzeba zrobić.

– Synku, martwię się o ojca – zaczęła, starając się opanować drżenie głosu. – Miał wrócić o szóstej, teraz już prawie dziewiąta, a jego nie ma. Byli państwo Mielniccy, nie doczekali się i poszli... Tak, ojciec wiedział, że mają przyjść dzisiaj z wizytą... Popołudniowe wykłady, w klubie i w tewupe. Pogoda okropna, boję się, że przewrócił się i... Nie, jeszcze nigdzie nie dzwoniłam. Chciałabym, żebyś przyszedł. Boję się – powtórzyła. – Dobrze, czekam na ciebie. Ale jedź ostrożnie – dodała z nawyku, bo miał zwyczaj lekceważyć znaki drogowe.

Odłożyła słuchawkę. Dwudziesta pierwsza i trzy minuty. Tam musiało coś się stać! – myślała, krążąc niespokojnie po mieszkaniu. – Niemożliwe, żeby zapomniał o gościach. Przecież zawsze można zatelefonować, choćby z automatu po drodze. Gdyby... gdyby znalazł się na pogotowiu, ktoś dałby znać!

Michał przyjechał po dwudziestu minutach. Wysoki, szczupły, jasnowłosy, zazwyczaj uśmiechnięty, teraz twarz miał zatroskaną. Jedno spojrzenie na matkę powiedziało mu, że ojca w dalszym ciągu nie ma. Zrzucił płaszcz i z miejsca zasiadł przy telefonie. Systematycznie obdzwaniał stacje Pogotowia Ratunkowego, dyżurne szpitale, potem – z wahaniem – połączył się z Pogotowiem Milicji. A kiedy wszędzie otrzymał odpowiedź: nie ma, zaczął dzwonić do znajomych ojca, wpieryw tych najbliższych, potem dalszych.

Kilka minut po dziesiątej odłożył słuchawkę i spojrzał na matkę, która siedziała w fotelu na pozór spokojna, wyprostowana, ale coraz bledsza.

– A Jacek? – spytała. – Telefonowałeś do niego?

– Tak – odparł. – Jeszcze przed moim przyjazdem tutaj. Nic nie wie. – Umilkł, gryząc wargi, zastanawiał się nad czymś, wreszcie zapytał ostrożnie: – Słuchaj, mam, chyba ojciec... Mam na myśli, że chyba nie... No, czy w ostatnim czasie lubił sobie wypić?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dobrze, zadzwoń do tej... jak tam się nazywa. Do tej Izby.

– Bez sensu – mruknął, ale zrobił to. I tutaj usłyszał: nie ma. Całe szczęście! – pomyślał mimo woli. – To zupełnie do niego nie podobne. Tak, ale wobec tego gdzie jest?

Nagle zadzwonił telefon. Elżbieta zerwała się z fotela, Michał szybko podniósł słuchawkę. To był Jacek, pytał o ojca. Na wiadomość, że do tej pory nie wrócił, powiedział tylko: – Zaraz u was będę.

Siedzieli potem we trójkę, nad słuchując każdego szmeru na schodach, zgrzytu hamulców na jezdni, jakichś głosów, czegokolwiek, co mogło oznaczać jego powrót. Jacek zaparzył kawę, zmusił matkę, aby wypita pełną filiżankę. O północy Michał znowu zaczął wydzwaniać do szpitali, pogotowia, milicji. Bezskutecznie.

– Nie rozumiem! – wykrzyknął, gniewny na swoją bezradność. – Przecież gdzieś musi być! Dlaczego się nie odezwał?

Kiedy Elżbieta, osłabiona i bardzo zmęczona, poszła do sypialni, aby wyciągnąć się trochę na tapczanie, bracia patrzyli na siebie przez chwilę, jakby zastanawiając się, który z nich pierwszy zada to pytanie. Wreszcie Michał odezwał się szeptem:

– Słuchaj, chyba ojciec nie ma jakiejś baby?

Jacek wzruszył ramionami.

– W tym wieku? – burknął. – Jeżeli dobrze się orientuję, jest mamie tak wierny jak żaden mąż w Warszawie, a może i w całej Polsce. Nonsens. Ojciec i seksowe igraszki? Bzdura. Teoretycznie założmy, że ma kogoś, ale przecież nie uprawiałby takich szaleństw właśnie wtedy, kiedy w domu czekają goście. Nie, to odpada.

– Więc co, u diabła, mogło się z nim stać?

*

Śnieg padał przez całą noc. Nad ranem śnieżycą ustała, ale w dalszym ciągu szare chmury wisiały nad miastem. Około siódmej młody lekarz z miejskiego szpitala wyprowadził, jak codziennie, swego pokracznego basseta do parku. Był to ich poranny spacer, dla psa – przyjemność i pilna potrzeba, dla jego pana „przewietrzenie zdrowotne”. Mieszkali w pobliżu Ogrodu Saskiego, tam więc skierowali swoje kroki, człowiek duże, stanowcze, pies malutkie i podwójne.

Zaraz na początku basset wpadł po uszy w białą zaspę, wyskoczył z niej jak z procy i, zapadając się co chwila, pognął z głośnym szczekaniem przed siebie. Lekarz biegł z pewnym trudem, śniegu na ścieżkach było do pół metra. Skręcił w bok, potknął się o coś dużego, długiego, wyrócił i zaklął. Pies, uważając upadek za świetną zabawę, podskoczył do niego, ale raptem stanął jak wryty i warknął.

– Co jest, Budrys? – spytał lekarz; otrząsał się ze śniegu, miał go pełno na karku i za uszami.

Basset nie ruszał się. Warczał niespokojnie, w pewnej chwili cicho zaskomlał. Potem ostrożnie zbliżył się do przeszkody, o którą jego pan się przewrócił, zaczął węszyć, odgrzebywać.

– Zostaw, to kawał drewna! – Lekarz chciał już iść, podniósł czapkę, która mu spadła właśnie na to zaśnieżone drewno, nagie przyjrzał się bliżej i włosy zjeżyły mu się na głowie. Do nieboszczyków wprawdzie był przyzwyczajony, ale nie w takiej scenerii.

– Odsuń się, Budrys – powiedział. Przykucnął, odgarnął śnieg. Przemknęło mu przez myśl, że być może ten człowiek żyje, może leży od niedawna; pijany albo chory. Jednakże bardzo szybko zrozumiał, że się myli. Ciało było martwe, zimne jak kawał lodu. Musiało tu leżeć co najmniej pół nocy.

To był pierwszy wniosek, jaki mu się nasunął. Drugi przeraził go jeszcze więcej: ten ktoś został zamordowany, na piersiach miał ranę tuż koło serca albo w nim, zamarznęta krew zmieszana ze śniegiem zaszeleściła mu w palcach, kiedy rozpiął leżącemu futro, aby zbadać serce.

Wstał więc i przez chwilę zastanawiał się, co robić. Najprościej było odprowadzić psa do domu i pojechać do szpitala, zapomniawszy o wszystkim co się zdarzyło. Ale co proste, nie zawsze słuszne, powiedział sobie. Przecież nie zostawi tak człowieka na pastwę losu.

– Trzeba milicję – mruknął. Rozejrzał się po parku. Było już jasno, w pobliżu pomnika przechodzili ludzie. – Budrys! Zostań tu i pilnuj – rzekł do psa. – Siad! – Pokazał ręką obok ciała. – Waruj, słyszysz? Ja zaraz wrócę.

Basset, acz niechętnie, zajął miejsce w pobliżu zwłok. Był psem posłusznym i choć coś takiego spotkało go po raz pierwszy, nie próbował sprzeciwić się swemu panu.

Lekarz (specjalność chirurgia kostna) popędził, jak szybko zdołał, do najbliższego automatu. Oficer dyżurny z Pałacu Mostowskich obiecał, że ekipa przyjedzie w ciągu pół

godziny, może kwadrans. Zalecił pozostanie przy nieboszczyku. Lekarz wrócił do psa, zatroskany swoim spóźnieniem do szpitala, co już teraz było nieuniknione. Pocieszyła go myśl, że pierwszą operację ma dopiero o jedenastej. Pouczono go o „niezacieraniu śladów”, ale przyjął to wzruszeniem ramion. Padało kilkanaście godzin i zasypało wszystko, co mogło oznaczać jakikolwiek ślad. Czekał więc niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę, bo buty przemokły i miał już mokre skarpetki.

Wreszcie dostrzegł radiowóz, zatrzymujący się obok pomnika, a po chwili dwóch mężczyzn – jeden w mundurze, drugi w cywilnym kożusku – podeszło do niego.

– Tutaj – powiedział. Odsunął się od ciała.

Ten w kożusku przyjrzał się lekarzowi wąskimi czarnymi oczami, potem przykląkł obok zwłok, porucznik w mundurze szybko wykonał kilka zdjęć, odgrzebał trochę śniegu dokoła nieboszczyka, pomógł koledze unieść go i położyć na najbliższej ławce.

– Powiedz, niech przyślą nysę – rzekł major Szczęsny. Patrzył przez chwilę na martwą twarz i przeniósł wzrok na lekarza. – Pan go znał?

– Nie. Ani znajomy, ani pacjent.

– Jak to było? Pies odnalazł? – Poglądził basseta, który przyjął to życzliwie, wciąż jednak najeżony, niespokojny w obliczu śmierci.

– Właściwie... No, potknąłem się o ciało, przewróciłem. Nie zauważyłem pod śniegiem. Wtedy Budrys zawarczał, chciał odgrzebywać. Kazałem mu pilnować, sam polecałem do telefonu. To tyle.

– Często pan tu przychodzi z psem?

– Prawie codziennie. Rano, koło siódmej. Biegamy – uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Bardzo zdrowo – zauważył porucznik. Przeglądał dokumenty, wyjęte z portfela nieboszczyka. – Antoni Zawilski, lat siedemdziesiąt dwa... Zaraz przyjedzie nysa – to do Szczęsnego. – Dwanaście tysięcy w banknotach, złoty schaffhausen, obrączka, bony. Futro, czapka z norek. Zastanawiające, że... – urwał.

– Tak – odparł major, kończąc myśl. – Nie zdążył, spłoszyli go. Albo nie chciał.

– Mogę już iść? – spytał lekarz. – Muszę odprowadzić psa, o jedenastej operuję.

Podał porucznikowi dowód osobisty, poczekał, aż jego personalia zostaną dokładnie spisane, dorzucił fachowo, że, jeżeli się nie myli, pan Zawilski został pozbawiony życia co najmniej kilkanaście godzin wcześniej, ale to oczywiście nie leży w jego kompetencjach kostnego chirurga. Potem odszedł.

Nysa wjechała w główną aleję, budząc zainteresowanie przechodniów, którzy szli przez park. Porucznik, po zabraniu ciała, zrobił jeszcze zdjęcia w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Wraz z dwoma milicjantami przeszukali najbliższą okolicę, ale nie znaleźli noża, bagnetu czy czegoś takiego. Trudno było zresztą przekopywać się przez grubą warstwę śniegu i zeschniętych liści. Milicjanci jednak zostali, a dwaj oficerowie wsiedli do radiowozu i pojechali do Pałacu Mostowskich.

Pułkownik Daniłowicz, szef wydziału kryminalnego, zdziwił się na widok Szczęsnego.

– Co ty tu, robisz? – spytał. – Miałeś spać po dyżurze.

Major rzucił kożuszek, roztarł zmarznięte ręce.

– Poczekaj, muszę umyć... – mruknął, znikając w korytarzu. Kiedy wrócił, szef słuchał właśnie relacji porucznika Dębskiego o zwłokach znalezionych w Ogrodzie Saskim.

– Zawilski? – powtórzył nazwisko, zamyślił się. – To znany profesor, ornitolog, jeżeli się nie mylę. Zaraz, mamy tu – pogrzebał w papierach, wyjął poranny meldunek o wydarzeniach. – Zgadza się. Rodzina zgłasza o zaginięciu Antoniego Zawilskiego. Prowadził jakieś wykłady na mieście po południu. Czekali na niego, no i nie doczekali się. Telefonował syn, Michał Zawilski. Kilkakrotnie. Hoża jedenaście, mieszkania sześć. Nie odpowiedziałeś mi na pytanie? – zwrócił się do Szczęsnego.

Major wzruszył ramionami, siadł w fotelu.

– Dasz kawę?

Daniłowicz nacisnął guzik selektora, poprosił sekretarkę o trzy kawy.

– Siadaj, czego sterczysz? – rzekł do porucznika, stojącego wciąż służbiście przed biurkiem. Dębski pracował w wydziale od niedawna i zwalista, sroga postać pułkownika niekiedy budziła w nim niejasne obawy. Przysiadł ostrożnie na krześle, gotów każdej chwili zerwać się i odpowiadać na pytania, odwrotnie niż Szczęsny.

Daniłowicz znał swego zastępcę od wielu lat, czasem myślał, od stu albo więcej, toteż nie przejął się brakiem odpowiedzi. Wiedział już, że Szczęsny zainteresował się sprawą zabójstwa. Pojechał pewnie radiowozem, ot tak, przypadkowo, aby przy okazji wrócić do domu. Zobaczył coś, co go zaintrygowało, i został. Nie pierwszy raz tak było.

– No, to bierz sprawę – powiedział już tylko dla porządku.

– Sztylet – stwierdził major pozornie bez związku. – Mógł też być długi ostry nóż. Ewentualnie szpikulec. Wiesz, taki od szaszłyku. Tam jeszcze szukają, ale wątpię, żeby znaleźli.

– Kogo chcesz do pomocy?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI